Nr. 7. Kraków, Październik 1915. Rok IX.



REDAKCYA
i Administracya:
**Kraków,
ul.
Franciszkańska
L. 3.**

Cena egzemplarza wynosi 10 halerzy

TREŚĆ NUMERU VII-go:

Wojenne nabożeństwo Różaniec św.

W roku 1571 zawisło srogie niebezpieczeństwo nad Kościołem. Sułtan turecki, Soliman II. wybrał się z wielką potęgą na podbój Włoch i zagarnięcie Rzymu, stolicy chrześcijaństwą.

U greckich wybrzeży, pod miastem Lepanto, zebrała się garść chrześcijańskich obrońców wiary i wolności. Tu miało przyjść do rozstrzygającej bitwy morskiej. Nieprzyjacielskie okręty, gęsto obsadzone wyborowym żołnierzem, mrowiem zaległy morską zatokę. Przeciwko nim stanęła garstka chrześcijan. Widmo zupełnej zagłady zawisło nad nimi...

Śmiele jednak stawili czoła przemożnemu wrogowi. Dziwna jakaś moc przejęła ich serca; ufali w zwycięstwo.

Nim bowiem do bitwy się zerwali, oddali się w opiekę Najśw. Panny. Papież, Pius V., to im uczynić był polecił. Na najwyższym maszcie rozpięto chorągiew z wizerunkiem Jezusa Ukrzyżowanego, a cała załoga padła na twarz. Wzruszający był to widok, gdy naczelny wódz chrześcijańskiego wojska, Don Żuan Austryacki, przyrodni brat hiszpańskiego króla Filipa II., a za nim dowódcy wojsk papieskich, neopolitańskich i weneckich, a wreszcie wszystko żołnierstwo leżało krzyżem na pokładach okrętów i polecało się w opiekę Boga za przyczyną Najśw. Panny...

Modlitwa skrzepiła serca obrońców Krzyża św. Dano hasło do boju! Zerwała się załoga; okręty ruszyły... I o dziwo!... Wiatr, dotąd przeciwny, nagle się zmienił; chrześcijańskie okręty, parte jego wiewem spadły, jak huragan na tureckie zastępy. Wzmogło się męstwo w ser-

cach wiernych na ten jawny cud nieba; pełni ufności w Bogu walczyli chrześcijanie nieugięci z przemożnym wrogiem przez trzy dni. Trzeciego dnia przełamali tureckie szeregi; Turcy zawrócili ku wybrzeżom. Z okrzykiem tryumfu rzucili za się za nimi chrześcijanie; wdarli się na ich okręty i zatknęli na nich swe zwycięskie krzyże.

Trzydzieści tysięcy Turków padło w tej bitwie; dwieście okrętów i piętnaście tysięcy chrześcijańskiego niewolnika odbito pohańcom.

...I znów padli owi waleczni zwycięzcy na kolana, korne dziękując Bogu i Najśw. Pannie za cudowną pomoc.

Gdy się ten bój na greckiem morzu toczył całe Włochy na polecenie Papieża trwały w modlitwie i pokucie. Kościoły pełne były pobożnych; do Loretto, gdzie jest nazaretański domek Najśw. Maryi Panny podążyły zewsząd liczne pielgrzymki. A wszędzie odmawiano Różaniec...

W chwili, gdy łamano zastępy wroga pod Lepantem, Papież Pius V., jak drugi Mojżesz, klęczał w swej komnacie na Watykanie, z rozkrzyżowanemi rękoma, cały zatopiony w modlitwie... Nagle się zerwał, a jasne łzy trysły mu z oczu... I znowu padł na kolana i dziękował Bogu... Przez jasnowidzenie dowiedział się o cudownem zwycięstwie. W tem też widzeniu poznał, iż to zwycięstwo od Najśw. Maryi Panny przez Różaniec przyszło.

Działo się to dnia 7 października 1571 roku. Wdzięcznością wiedziony, ustanowił Pius V. w dniu tym święto: „Maryi Zwycięskiej“. — Grzegorz XIII. przełożył je na pierwszą niedzielę października, łącząc to święto z uroczystością „Różańca św.“ Od Klemensa XI. cały Kościół obchodzi w październikową niedzielę uroczystość „Maryi Zwycięskiej“, którą czci Różańcem.

Nabożeństwo różańcowe w październikową niedzielę uroczyście obchodzone z wojny początek swój wzięło. Nie dziw przeto, że wierne serca chrześcijańskiego rycerstwa do Różańca św. silnie przywarły.

Sławni królowie i zwycięzcy wodzowie bywali gorliwymi czcicielami Różańca. Cesarz Karol V. uważał sobie różańcowe nabożeństwo za najskuteczniejszy środek do uzyskania pomocy Bożej w każdej cięższej sprawie. Fryderyk III., cesarz, prosił Papieża o pozwolenie przywrócenia bractwu Różańca w Kolonii i sam był najgorliwszym jego członkiem. Henryk II., Franciszek II.. Karol IX., królowie francuscy zawsze pilnie odmawiali Różaniec, a ze szczególnem nabożeństwem odmawiali go w czasie bitew. W starych księgach brackich we Lwowie, Krakowie, Częstochowie czyta się nazwiska: Zamojskich, Chodkiewiczów, Żółkiewskich, Czarnieckich — a po skarbcach kościelnych i muzeach zachowały się drogie po nich pamiątki: Różańce. A byli to przecież najsławniejsi wodzowie.

Snać różańcowe nabożeństwo niepomiernie krzepi serce żołnierza i wodza. Owo rozważanie życia Jezusa, poczętego niemowlęctwem, a przeżytego w trudzie i znoju i ciągłej walce ze złem, dokonanego w krwawej męce na krzyżu, a uwieńczonego chwałą zmartwychwstania dziwnie się splata z dolą żołnierza, który nieraz podobnie, jak ów Jezus „nie ma, gdzieby głowę skłonił“, a trudzi się i znosi, na mękę i śmierć naraża w walce ze złem o lepsze jutro. „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę“, mówi w tych rozważaniach Jezus do udręczonej trudem wojennym duszy żołnierskiej. A z tej duszy raz poraz wyrywa się szept: „Ojcze nasz, który jesteś w niebie... zbaw nas ode złego“. A iżby Ten Ojciec rychlej tego wołania dziecka wysłuchał, szepce znowu biedne żołnierzysko „Zdrowaś Maryo... módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci“ — po dziesięćkroć te prośby powtarzając. A im więcej ziaren Różańca przebiega — tem mu raźniej. Ufność w sercu rośnie; Bóg go zachowa od złego; bo choćby i paść przyszło, to w godzinie śmierci Jezus i Marya go nie opuszczą. Padnie pod ich znakiem, Różańcem świętym. Różaniec na szyję mu włożą. albo na grobowym krzyżyku zawieszą — ciało pod tym świętym znakiem spocznie w ziemi. a dusza uleci do „Ojca, który jest w niebiesiech“. a tam będzie ni trudu, ni znoju. ni wojny krwawej, ale żywot wieczny i szczęście nieprzebrane.

Orędzie X. Arcybiskupa Dalbora do wiernych

Edmund, ze zmiłowania Bożego i Stolicy Apostolskiej łaski Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański, wszystkim wiernym obydwóch Archidyecezyi pozdrowienie i błogosławieństwo w Panu!

Skończyło się sieroctwo Wasze! W porządku duchownym macie znów Ojca i Przewodnika, macie Biskupa i Stróża dusz Waszych.

Kiedy na dniu 20 lutego bieżącego roku zamknął oczy po długim, pracowitym, służbie dla Kościoła i religii wiernie oddanym żywocie śp. Arcybiskup Edward Likowski, budziła się trwożna myśl, czy archidyecezye Gnieźnieńska i Poznańska nie pozostaną znów na długie może lata bez Pasterza. Jeśli się stało inaczej, jeżeli już dziś mogę się do Was odezwać jako Wasz Arcybiskup, to mamy to najpierw Panu Bogu do zawdzięczenia. — Niechże tedy z serc Waszych popłynie dziękczynna modlitwa do Stwórcy Najwyższego: „Błogosławiony Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, Ojciec miłosierdzia, a Bóg wszystkiej pociechy“ (2 Kor. 1, 3).

„Błogosław duszo moja Panu i wszystko, co we mnie jest, imieniowi świętemu jego. Błogosław duszo moja Panu, a nie zapominaj wszystkich dobrodziejstw jego“ (Ps. 102, 1—2).

Sercem przejętem wdzięcznością śpiewajcie i wyznawajcie Bogu:

„Kto się w opiekę odda Panu Swemu, a całem sercem szczerze ufa Jemu, śmiele rzec może mam obrońcę Boga“ (Ps. 90, 1—2), i dziękujcie Bogu za opiekę Jego świętą, tak widocznie nad nami czuwającą.

Po Bogu należy spłacić dług wdzięczności względem tych, za których zgodą i wzajemnem porozumieniem przyszło do skutku rychłe obsadzenie Stolicy arcybiskupiej, względem najwyższych przedstawicieli Władzy duchownej i świeckiej.

Zaledwie wieść o śmierci śp. Arcybiskupa Edwarda Likowskiego doszła do Rzymu, a już Ojciec św. Benedykt XV. rozpoczął usilne i skuteczne starania, aby potrzebom archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej jak najprędzej zaradzić. Uważając, że czasy wyjątkowe wyjątkowych wymagają środków, postanowił za zgodą Najjaśniejszego Pana, któremu też za to wdzięczność nasza się należy, tym razem sam wybrać pasterza dla osieroconej dyecezyi.

I oto staję przed Wami z posluszeństwa dla woli Ojca św. jako Wasz nowy pasterz, staję z drżeniem przed wielkością zadania i ciężarem odpowiedzialności, pod którym upadali silniejsi ode mnie, ufając jedynie w pomoc Bożą, i oddając się całkowicie opiece Boskiej Opatrzności. Z głębi serca wołam do Boga mego: „Ześlij Panie mądrość z świętych niebios Twoich i ze stolicy wielkości Twojej, aby ze mną była i ze mną pracowała, abym wiedział, co jest przyjemnego u Ciebie“ (Mądr. 9, 10).

Staję przed Wami z gorącą prośbą, byście mnie wspierali modlitwą nieustającą, abym był zdolen spełnić to, co pragnę. A pragnę być Wam dobrym pasterzem, pragnę Was wszystkich objąć miłością, i pracę życia mego poświęcić dla dobra dusz Waszych.

W wielkiej chwili dziejowej obejmuję rządy dyecezyalne. Na zegarze świata biją godziny, mające wywrzeć wpływ ogromny na losy narodów, Kościoła i religii, mające rozstrzygnąć o przyszłym wyglądzie świata.

Co nam przyszłość przyniesie, nie wiemy, ale to wiemy, że dokonują się w świecie zamiary Boże. Rzeczy, które wczoraj wydawały się niemożliwe stają się dziś rzeczywistością. Widoczna ręka Boża, kreśląca tajemnicze znaki, na razie jeszcze nam niezrozumiałe, zapowiadające przeobrażenie świata. Zniknie, co z woli Bożej ma zginąć, powstanie i przetrwa, co Bóg zechce powołać do życia i zachować. Obyśmy stali się godnymi tej wielkiej chwili dziejowej. Obyśmy czystością serca, nieskazitelnością umysłu, ochoczością dobrej woli zasłużyli należeć do tych „co mają mieć życie i obficiej je mieć“ (Jan 10, 10), i spełniać w dalszych dziejach świata myśl Bożą na ziemi. Niech każdy z Was, moi drodzy, wie i czuje, jak wielka na nim spoczywa odpowiedzialność i niech ze swej strony przyczynia się życiem według przepisów Chrystusowych, aby ściągnąć błogosławieństwo Boże na nas: „szukajcież tedy naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a to wszystko będzie wam przydane“ (Mat. 6, 33).

Zawsześ i wszędzie trzeba nam spełniać obowiązki nasze. Ale gdy dom w niebezpieczeństwie, słusznie od każdego z domowników wymaga się zdwojonej czujności i najwierniejszego wykonania obowiązków. Żyjemy w powszechnem niebezpieczeństwie i silniej niż kiedykolwiek odzywa się do nas głos Boży: „Czuwajcie, a módlcie się“ (Mat. 26, 41).

Czuwajcie! Gdy jedni na polach walki czujne pełnią straże, patrząc codzień w oczy śmierci, drudzy, co w domu pozostali, winni każdy w swoim stanie, w swoim urzędzie, na swej posadzie, w swoim zakresie z największą sumiennością oddawać się obowiązkom, tym mianowicie, jakie obecna chwila nakazuje. Niech czasy wojenne wpłyną na zaostrzenie sumienia, a nie na rozluźnienie.

Módlcie się! Módlcie się za tych, co poszli w krwawy bój; módlcie się za tych, co już polegli; módlcie się w myśl Ojca św., aby po rychłem, szczęśliwem zakończeniu wojny, zajaśniała dla świata promienna zorza trwałego pokoju, prawdziwej wolności, rzetelnego postępu, opartych na nieodmiennych prawach Bożych i przykazaniach Chrystusowych:

„Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa niech będzie z Wami“ (2 Kor. 13, 13).

Dan w Poznaniu, dnia 21 września 1915 r.

†† Edmund

Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański.

Ingres X. Arcybiskupa Dalbora.

Konsekracya oraz uroczyste wstąpienie nowego Arcypasterza na tron gnieźnieńsko-poznański odbyło się z okazałością, jakiej od lat siedmdziesięciu nie oglądał Poznań.

Przy przepysznej, rozsłonecznionej pogodzie jesiennej już o godzinie 8. rano poczęły we wtorek gromadzić się na placu katedralnym zastępy członków cechów i bractw poznańskich, oraz z okolicy ze sztandarami. Tłumy wiernych z miasta i prowincyi spieszyły tam od wczesnego ranka i niebawem, gdy przed godziną 9. zabrzmiały rozgłośnie dzwony kościołów poznańskich, cały plac zaległo jedno morze głów. Katedrę zapełniły nieprzeliczone rzesze osób, posiadających karty wstępu.

W zakrystyi kościoła katedralnego zebrało się duchowieństwo: klerycy, księża wikaryu-

sze, proboszczowie, dziekani, szambelani papiescy i w procesyonalnym pochodzie wyruszyli ku pałacowi arcybiskupiemu po nowego X. Arcypasterza i X. Biskupa-Sufragana. Stamtąd po ustawieniu się pochodu ruszył orszak wśród bicia dzwonów i pieśni „Kto się w opiekę“ do katedry. Na czele postępowali klerycy, potem duchowieństwo miejscowe i zamiejscowe w niezliczonej liczbie, duchowieństwo Kollegiaty św. Maryi Magdaleny, duchowieństwo archikatedralne, kollegium profesorów seminaryum duchownego, kanonicy obydwuch kapituł z krzyżem arcybiskupim na czele, wreszcie Najprzewielebniejszy X. Arcybiskup Dr Dalbor w purpurowych szatach arcybiskupich z biretem na głowie, przy boku jego X. Biskup-Sufragan Dr Jedzink, tuż za nimi konsekrator X. Kardynał Hartmann z Kolonii pod baldachimem w asyście Księcia-Biskupa Dra Bertrama z Wrocławia i X. Biskupa Kloskiego z Gniezna. Za baldachimem postępowali szambelani papiescy w mundurach, a zamykał pochód oddział Bractwa strzeleckiego w mundurach.

Przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych zajęli miejsca w lożach i na krzesłach przed presbiteryum. Instytucye polskie reprezentowane były przez Centralne Towarzystwo Gospodarcze ze swym prezesem, p. Drem Tadeuszem Szułdrzyńskim na czele, oba Koła poselskie, Radę narodową, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, poznańskie Koło radzieckie, Towarzystwo Czytelni Ludowych, Patronat i w. i. Z przedstawicieli władz cywilnych i wojskowych byli: naczelny prezes W. Ks. Poznańskiego, gubernator miasta Poznania, prezydent policyi poznańskiej, przewodniczący poznańskiej Rady miejskiej i w. i. Gdy X. Arcybiskup wstępował do bramy katedry, chór pod batutą dyrygenta chóru katedralnego X. Dra Gieburowskiego zaintonował „Ecce Sacerdos“ z wtórem organu i puzonów.

Wśród szpaleru, utworzonego przez duchowieństwo, poprowadzono X. Arcypasterza, X. konsekratora-Kardynała i Biskupów do zakrystyi i stamtąd z powrotem przed wielki ołtarz. Tutaj mający być konsekrowani wdziali na siebie szaty kapłańskie, tosamo uczynili asystujący im Biskupi i X. Kardynał-konsekrator.

Po przybraniu szat pontyfikalnych zabrał X. Kardynał-konsekrator miejsce na tronie arcybiskupim, poczem rozpoczął się obrzęd święcenia. X. kapelan Zakrzewski odczytał po łacinie bulę papieską, zawierającą nominacyę nowego Arcybiskupa i Biskupa-Sufragana, wymieniającą ich obowiązki i upoważniającą do starania się o święcenie. Następnie składali elekci przysięgę wierności Ojcu św. Konsekrator czytał pojedyncze artykuły wiary, a elekci oświadczyli, że je przyjmują i wierzyć i wyznawać będą. Po złożeniu przysięgi elekci wdziali na siebie szaty biskupie i rozpoczęła się uroczysta Msza św., podczas której wykonał śpiewy chór archikatedralny. Elekci czytali Mszę św. przy osobnym ołtarzu, ustawionym po lewej stronie wielkiego ołtarza. Po lekcyi zbliżyli się elekci do wielkiego ołtarza i położyli sę krzyżem, a biskup i duchowieństwo odmawali głośno litanię do Wszystkich Świętych.

Po odmówieniu, a raczej odśpiewaniu litanii położono elektom na plecy księgę ewangelii, a biskupi kładli im ręce na głowy. Następnie, podczas kiedy duchowieństwo śpiewało „Veni Creator“, konsekrator namaszczał głowy elektów, palce i dłonie. Asysta przyniosła następnie pastorały, t. j. berło arcybiskupie i biskupie, których po poświęceniu dotknęli się elekci. Oprócz tego otrzymał każdy z elektów poświęcony pierścień, jako symbol zaślubin z Kościołem. Po tej ceremonii X. Arcybiskup i Biskup wrócili na swoje miejsca i Msza św. odbywała się w dalszym ciągu aż do Offertorium. Po Offertorium konsekrator usiadł przed wielkim ołtarzem. Zachował się starożytny zwyczaj, żeby celebransowi podczas Mszy św. ofiarować potrzebne przybory, a więc świece, chleb i wino. Dary te wnieśli świeccy przeważnie, świece hr. Kwilecki, szambelan Hasche, X. szambelan Laubitz i jeden włościan, chleby od arcybiskupa złocone, od sufragana posrebrzane, nieśli Wł. Jerzykiewicz, szambelan Cegielski, Dr Jerzykowski, K. Brownsford. Cztery baryłki wina nieśli hr. Żółtowski, Motty, Dr Szułdrzyński, Dr Dembiński, Czapski, Michalak, szambelan Stablewski, Dr Gantkowski.

Dalszy ciąg Mszy św. konsekrator i elekci odprawiali razem przy wielkim ołtarzu, święcąc jedną hostyę i wino z jednego spożywając kielicha. Po odśpiewaniu „Ite missa est“, konsekrator włożył elektom oznaki biskupie, mitrę i rękawiczki i wprowadził arcybiskupa na tron, przez ten akt uroczysty oddając symbolicznie w posiadanie stolicę arcybiskupią. Biskup-Sufragan w odznakach swoich usiadł przed wielkim ołtarzem. Następnie Kardynał zaintonował hymn „Te Deum laudamus“. Podczas niego w imieniu duchowieństwa archidyecezyi, kapituły i dziekani przystępując kolejno i całując w pierścień, złożyli homagium arcybiskupowi.

Podniosła była chwila, gdy nowo konsekrowany X. Arcypasterz w otoczeniu asystujących Biskupów i kleru przechodził wzdłuż głównej nawy kościoła, udzielając wiernym po raz pierwszy arcypasterskiego błogosławieństwa.

Po skończonych obrzędach i zdjęciu szat biskupich, ustawiło się duchowieństwo wzdłuż kościoła i przed katedrą, by w tymsamym porządku, co przy wprowadzeniu, odprowadzić X. Kardynała-konsekratora, oraz nowego Arcypasterza i Biskupa-Sufragana do pałacu. — W drodze z kościoła do pałacu liczne zastępy ludu witały nowego Arcypasterza, widocznie bardzo wzruszonego, radosnymi okrzykami: „Niech żyje!“.

Po zakończeniu uroczystości kościelnych, Najprzewielebniejszy X. Arcypasterz przyjmował delegacye ziemiaństwa i włościaństwa wielkopolskiego. W imieniu ziemian przemówił Dr Tadeusz Szułdrzyński, prezes Centralnego Towarzystwa Gospodarczego, w imieniu włościan p. Raszewski, Patron Kółek włościańskich. — X. Arcypasterz dziękował serdecznie za złożone mu życzenia i udzielił obecnym błogosławieństwa.

Różaniec w dawnej Polsce.

Rozmiłowany we czci swej niebieskiej Królowej naród polski, każdy rodzaj nabożeństwa do Niej skwapliwie przyjmował i pilnie je zawsze odprawiał. Nigdzie też może Różaniec św., owa korona nabożeństw maryańskich, tak bujnie się nie przyjął, jak w naszej Polsce. Świadczą o tem stare zapiski i przechowane pamiątki.

W dziejach miasta Gdańska czytamy, że już w roku 1350 była tam ulica „Paternosterstrasse“, czyli „Ojczenaszowa“. Mieszkali na niej sami wyrabiacze różańców; robili je zaś z bursztynu i korali; bursztynowy różaniec kosztował w owych czasach około sześciu koron, licząc na dzisiejsze pieniądze u nas.

Spis kosztowności skarbu koronnego na Wawelu w Krakowie z r. 1599 wylicza 19 drogocennych różańców; każdy z nich miał po trzy dyamenty i po 20 gałek, z których każda miała w sobie po 3 perły; na końcu zaś znajdowała się gałka wielka, w której 9 dyamentów i 20 pereł było osadzonych. W Muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie przechowują się dotąd różańce księcia Radziwiłła „Sierotki“, króla Jana III. Sobieskiego i hetmana Chodkiewicza. W skarbcu częstochowskim znajduje się różaniec króla Stefana Batorego i Jana Sobieskiego; pobożny król Jan złożył ten różaniec u stóp Maryi jako wotum, gdy szedł pod Wiedeń na turecką potrzebę. Przy odnalezieniu zwłok królewicza Jakóba Sobieskiego w Żółkwi, znaleziono w trumnie jego różaniec.

Nuncyusze papiescy, przyjeżdżający do Polski, przywozili mnóstwo różańców z błogosławieństwem Ojca św. na podarki dla dostojników kościelnych i bogatych dam, a Golear Marescotti, arcybiskup Koryntu, posłujący od papieża do Polski za wyboru Michała Korybuta na króla — w sprawozdaniu swojem donosi, że w Polsce jako dary najwięcej są cenione różańce, naczynia z kryształu, medale i t. p. Na pierwszem jednk miejscu wymienia: różaniec.

Bo też dawne panie polskie miały w różańcu takie upodobanie, że na obrazach kazały się prawie zawsze malować z różańcem. Na starych nagrobkach starych matron polskich widzi się ich wizerunki zdobne zawsze w różaniec.

Tym zewnętrznym objawom przywiązania do Różańca świętego, odpowiadało w całej pełni wewnętrzne nabożeństwo.

We wszystkich prawie kościołach w całej Polsce istnieją od niepamiętnych czasów bractwa Różańca św. W kościołach zarówno po wsiach, jak i po miastach, w niedzielę i święta, zajmowali braca różańcowi jednę, a siostry drugą stronę kościoła i na dwa chóry, męski i żeński śpiewano Różaniec. Pogrzeby zmarłych w bractwie odbywały się zawsze przy licznym udziale sióstr i braci.

Nabożeństwo to było właściwem nietylko prostemu ludowi; owszem kwitło ono i w pałacach magnackich i na królewskich dworach. Oprócz wymienionych pamiątek świadczą o tem liczne zapiski brackie.

Kroniki klasztoru dominikańskiego w Podkamieniu, wspominają pod r. 1661 o odwiedzinach Michała Karybyta Wiśniowieckiego, który tam przybył „dla wykonania ślubów swoich“ i wraz z całym dworem wpisał się własnoręcznie do księgi różańcowej. Ów wpis, dokonany po łacinie tak brzmi w dosłownym przekładzie: „Ja najpokorniejszy sługa i grzesznik i najnędzniejszy niewolnik Maryi, Michał Tomasz Korybyt, książę na Wiśniowcu i Łubnie, własną ręką wpisuje się do bractwa Różańca z tymi wszystkimi“. — Tu wymienia osoby po szczególe.

„Najnędzniejszy niewolnik Maryi“ — to było ulubione miano szlachty polskiej, co sobie tak wysoko ceniła wolność.

W Podkamieniu istnieje też własnoręczny wpis do bractwa różańcowego króla Jana III., który tam często zajeżdżał i cudowny obraz Bożej Rodzicielki pobożnie nawiedzał.

W Piesaniu, w W. Ks. Poznańskiem, w powiecie inowrocławskim, znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej Pocieszenia. W księgach bractwa Różańca św. przy tym kościele, zapisał się własnoręcznie król Stanisław Leszczyński z licznym swym dworem — w r. 1773. Między zapisanymi spotyka się kilka nazwisk francuskich.

Takich przykładów wiele, wiele przytoczyćby można. Widać z nich, że polski naród żył ciągłem nabożeństwem do Najśw. Panny. To życie na cześć Maryi nie wykluczało jednak wcale wesołości i zabaw towarzyskich, owszem najpobożniejsi bawili się swobodnie, skąd powstało starodawne przysłowe na pochwałę tych, którzy zabawę ze swobodą ducha połączyć umieli: „I do tańca i do różańca“.

Ojcowizna św. Piotra.

Kiedy Chrystus Pan zakładał Kościół, oskarżyli go przewrotni faryzeusze przed Piłatem, jako buntownika; zarzucono Mu, iż występuje przeciw władzy cesarza; zakłada bowiem

w jego państwie jakieś nowe królestwo. Postawionego przed sądem Chrystusa pyta starosta: „Czyś Ty jest królem?“

„Tak jest — odpowiedział Jezus — ale Królestwo moje nie jest z tego świata“.

Temi słowy określił Chrystus Pan istotę Swego Królestwa, Kościoła św.

Kościół św. jest Królestwem dusz; celem jego jest wewnętrzne uświęcenie ludzi i prowadzenie ich do wiecznej szczęśliwości. Nie jest więc, jako inne „Królestwo z tego świata“, których celem jest ziemski i doczesny dobrobyt. Kościół, mając na celu wieczne dobro człowieka, gromadzi w sobie wszystkie narody ziemi, wraz z ich królami i władcami. Stoi przeto ponad wszystkiemi królestwami świeckiemi.

Z tego wynika, iż Kościół musi być zupełnie niezależnym. Jego najwyższy rządca, Papież, nie może podlegać żadnej władzy świeckiej. W dążeniu do swego celu i używaniu potrzebnych ku temu środków, należy się Kościołowi tak, jak każdej innej społeczności ludzkiej, zupełna swoboda. Aczkolwiek zaś celem Kościoła są sprawy czysto duchowe, toć przecież w skład jego wchodzą ludzie żyjący. U żyjących zaś ludzi sprawy duchowe ze sprawami ziemskiemi najściślej się łączą. Do osiągnięcia celów duchowych, musi się używać środków ziemskich. Kościół przeto, jako społeczność ludzka, rządzić się musi tak, jak się rządzą inne społeczności: królestwa i państwa, to jest: używać dla swego rozwoju środków doczesnych i ziemskich. Ponieważ atoli Kościół musi utrzymać swą zupełną niezależność od rządów innych społeczności, niezależnym być musi i w owych, czysto ziemskich i doczesnych sprawach.

Istotnym warunkiem Kościoła dla niezależnego sprawowania jego urzędu pośród wszystkich narodów świata jest posiadanie cząstki ziemi, nie podległej żadnej władzy świeckiej. W takich bowiem jedynie warunkach może Najwyższy Urząd Kościoła, wykonywać swobodnie swe prawa.

Potrzebę tej sprawy zrozumiano już w wiekach średnich (755 r.). Skoro cesarze bizantyńscy, władcy starego Rzymu, wiecznej siedziby papiestwa, przestali się troszczyć o miasto, królowie frankońscy Pipin i Karol Wielki, nowi zdobywcy owych dziedzin darowali Rzym wraz z częścią Włoch środkowych papieżowi, jako „dziedzictwo św. Piotra“ (patrimonium sancti Petri). W ten sposób powstało państwo kościelne. Papież, obok swej duchownej godności, był zarazem świeckim władcą w darowanym mu kraju, a Rzym był stolicą i chrześcijaństwa i państwa kościelnego.

Państwo kościelne przechodziło różne dzieje. W ciągu wieków rosło ono i malało, jednakowoż przez tysiąc lat z górą, papież, jako władca odrębnego państwa, zachował zupełną niezależność.

Dopiero pod koniec XVIII. wieku, Napoleon cesarz francuski, dążący do opanowania całego świata porwał się i na własność Kościoła. W r. 1798. zajęli Francuzi Rzym, a papieża, Piusa VI. jako jeńca wywieźli. Wprawdzie następca jego, Pius VII., mógł znowu objąć dawną władzę w Rzymie, ale na krótko, bo w roku 1808 Francuzi znowu zajęli Rzym i ogłosili go wolnem miastem cesarskiem, a papieża, któremu jedynie władzę duchowną zostawiono, wywieziono do Francyi.

W sześć lat później powrócił papież znowu do Rzymu i dawne prawa odzyskał. Ale raz rozniecone zarzewie niepokoju we Włoszech, wiecznie odtąd tlało. Raz po raz wybuchać poczęły powstania, a ludność włoska, podżegana narodowościowymi hasłami, domagać się poczęła jednolitego złączenia Włoch, pod rządami króla Wiktora Emanuela. Nad nietykalnością Państwa Kościelnego czuwała jednak Francya, wobec której i rząd włoski czuł się zniewolonym stawać w obronie praw papieża. Skoro atoli wybuchła wojna francusko-pruska, a papież utracił ostateczną ostoję w załodze francuskiej, stojącej stale w Rzymie, wojska włoskie wkroczyły do Rzymu w dniu 20. września 1870 r.

Państwo Kościelne wcielone do Włoch, przestało istnieć. Papieżowi pozostawiono jedynie pałac na wzgórzu, zwanem Watykanem, przyrzeczono mu osobistą nietykalność i zupełną wolność w znoszeniu się z wiernymi całego świata, a nawet wyznaczono mu pewne pieniężne uposażenie.

Ale papież, Pius IX., żadnych układów z rządem włoskim nie przyjął, a zabór Państwa Kościelnego mianem „gwałtu“ napiętnował. Dla okazania zaś, iż jedynie gwałtowi przemocy uległ, zamknął się Ojciec św. w swym pałacu na Watykanie, którego odtąd nigdy nie opuszcza. Stąd to papieże, od Piusa IX. począwszy „więźniami watykańskimi“ się zowią.

Obłuda rządu włoskiego, zabezpieczającego rzekomo zupełną wolność papieżowi w wykonywaniu Najwyższej Władzy w całym Kościele wyszła dzisiaj na jaw. Urzędujący na papieskim dworze przedstawiciele państw, z którymi Włochy popadły we wojnę, musieli opuścić Watykan, aczkolwiek ten kątek uznano wtedy za „nietykalny“. Każde urzędowe pismo papieskie, nim się do miejsca przeznaczenia dostanie, musi dzisiaj przechodzić rządową cenzurę, aczkolwiek w tym względzie zapewniano o zupełnej niezależności. Tak działalność papieża, najwyższej Głowy Kościoła, która jest wspólną sprawą wiernych całego świata domaga się zupełnej niezależności Papiestwa. Tę niezależność dać może Papiestwu jedynie posiadanie jakiegoś kraju. Kościół wielkich włości nie potrzebuje. Starczy mu skrawek ziemi. Ale na tym skrawku musi być wolnym. Rzym, stolica chrześcijaństwa odwieczna sie-

dziba papieży winien być jedynie... papieskim.

Kiedy Napoleon I. zajmował Rzym i syna swego królem rzymskim ustanowił, nie myślał nikt o tem, że Pius VII., więziony podówczas w Sawonie, powróci na tron, wydarty mu przemocą i że na nim dokona świątobliwego, a tak ciężko nawiedzonego żywota — jego zaś prześladowca umrze na odludnej skale, wychylając do dna czarę swego poniżenia i goryczy. Nie! nie ośmielił się wtedy nikt o tem pomyśleć nawet, a jednak tak się stało, bo światem rządzi Pan Bóg i sprawiedliwość Jego zawsze zwycięża.

Spoganiały duch czasu o sprawie wolności Kościoła dziś mówić nie chce. Ale ta sprawa Kościoła, jest sprawą Bożą zarazem. I kto wie, żali Bóg sprawiedliwy z dzisiejszego zamętu poniżonego Kościoła nie podniesie i należnej mu państwowej wolności nie wróci?...

Poślijcie dzieci do szkoły!

Gdy dojdą do was, drodzy Czytelnicy, te słowa, rozpocznie się na dobre nauka w niższych i wyższych szkołach w całym kraju. Nie tajmy przed sobą tych olbrzymich trudności, na jakie napotka teraz nauka szkolna. Mało szkół w ziemiach polskich funkcyonowało należycie w ubiegłym roku. Szkoły służyły przeważnie za szpitale, lub za koszary, a młodzież musiała czas przepędzać bezczynnie i tracić rok nauki szkolnej.

Nie możemy o tem mówić bez głębokiej troski o naszą młodzież.

Ale, dzięki Bogu, kraj został już uwolniony od inwazyi nieprzyjacielskiej, szkoły są przeważnie wolne i będą mogły służyć do właściwego użytku.

Dlatego z gorącą zachętą zwracamy się do was, rodzice: Posyłajcie pilnie dzieci do szkoły. Dzieci pewnie wiele pozapominały i dlatego nauczycieli czeka ciężka praca w szkole. Muszą więc rodzice dopomódz szkole. Trzeba zatem młodzież napędzać do nauki i posyłać pilnie do szkoły. Bo byłoby to wielkie i straszne nieszczęście dla narodu, gdyby nasza młodzież z powodu braku nauki szkolnej uległa zepsuciu i zdziczeniu. Byłaby to szkoda niepowetowana.

Donosimy wam z radością, że obecnie w całem Królestwie Polskiem powstają we wszystkich gminach s z k o ł y l u d o w e. — Tam bowiem istniał dotychczas straszny analfabetyzm (brak znajomości i czytania i pisania). Rząd rosyjski nie dbał bowiem o chłopa polskiego, chciał go zostawić w ciemnocie i nieuctwie. Jest więc nadzieja, że teraz wszystko zmieni się na lepsze.

Przez oświatę do lepszej doli i wolności!

W czasie wojny potrzeba cierpliwości i wytrwania w modlitwie.

Obecnie żyjące pokolenie nie znało nawet w przybliżeniu, ile nieszczęść sprowadza ze sobą wojna, dlatego jeszcze tamtego roku można było słyszeć zdanie, często powtarzane przez nierozważnych ludzi: „A, niech już raz będzie wojna!“ Dopiero wybuch wojny i długie jej trwanie nauczyło ludzi, ile ona sprowadza klęsk, ruin i nieszczęść. Dzisiaj już niktby nie powiedział „o niech będzie wojna!“ Przeciwnie, wszystkie narody jęczą pod jej strasznem brzemieniem i wzdychają za pokojem.

Gdy patrzymy na wojnę w duchu wiary, to m u s i m y j ą u w a ż a ć z a w i e l k ą i s t r a s z n ą k a r ę B o ż ą! Tak, w czasie wojny Bóg wyciąga karzącą prawicę ponad światem i chłoszcze grzeszne narody rózgą gniewu za zbrodnie i odstępstwo od przykazań Bożych.

Ludzie uznają też wojnę za karę Bożą i dlatego spostrzegamy ten całkiem naturalny objaw, że przed wojną i w czasie wojny żałują za grzechy, że proszą Boga o zmiłowanie! Wielu dopiero w czasie wojny nawróciło się szczerze do Boga. I Ojciec św. i biskupi wzywają wiernych ciągle do modlitwy.

Tymczasem wojna ciągnie się i ciągnie i trudno doczekać się jej końca. L u d z i e s ł a b e j w i a r y t r a c ą w y t r w a ł o ś ć i c i e r p l i w o ś ć i zniechęcają się do modlitwy, bo mówią: „Pocóż się modlić, Bóg nie wysłuchuje naszych modlitw“ i t. p. A jedno z bezbożnych pism ludowych napisało nawet niedawno, że „wojna nie jest wolą Bożą, że tylko czarne dusze mówią, że wojna to kara za takie lub owakie przewinienia“. (Por. „Przyjaciel ludu“ Nr 7).

Każdy łatwo zrozumie, że takie mowy, to bluźnierstwa przeciw Bogu! Wiara św. nas uczy, że nic nie dzieje się bez wiedzy Opatrzności Bożej, że włos z głowy człowieka nie spada bez woli Bożej. Cóż dopiero mówić o wojnie? Czyż nie daleko więcej wojna zależy od Boga, boć przecież na wojnie rozchodzi się o życie i zdrowie milionów ludzi, o szczęście lub nieszczęście tysięcy rodzin i całych narodów. — Kto posiada tę wiarę, ten modli się o zmiłowanie Boże i o pokój, ale nie zniechęca się, że Bóg nas zaraz nie wysłuchuje, bo wie, że wszystko będzie tak, jak się Bogu podoba, że nie ludzie będą rozkazywać Bogu, kiedy ma być wojna, a kiedy pokój, lecz wszystko zależeć będzie od woli Bożej. — Widocznie ludzie jeszcze za mało pokutują za grzechy, za mało żałują za zbrodnie, gdy Bóg nie kładzie kresu wojnie. I my zapewne nie dość gorąco się modlimy.

Nauczmy się więc cierpliwości i wytrwania w modlitwie! Wołajmy do Boga o pokój i o zmiłowanie, ale nie naznaczajmy Bogu, kiedy ma wysłuchać nasze modlitwy. Odepchnijmy od siebie bluźnierców, módlmy się za siebie i za drugich i ufajmy, że „dla sprawiedliwych będą skrócone dni one“ (Mat. 24, 20), dni gniewu Bożego, i że Bóg wysłucha modlitw sprawiedliwych i przywróci światu upragniony pokój.

Dobrze jest przypomnieć sobie tutaj historyę potopu. Przez sto lat napominał Pan Bóg ludzi i wzywał przez sługę swego Noego do pokuty i groził straszną karą potopu. Lecz ludzie śmiali się z gróźb Bożych. I przyszła straszna kara Boża, potop, który wygładził grzeszny rodzaj ludzki. Ludzie ratowali się z pewnością przed utopieniem, wtenczas z pewnością modlili się i błagali Boga o zmiłowanie! Lecz już było za późno!

Podobnie dzieje się i teraz! Podobnie i teraz upadł i znikczemniał rodzaj ludzki. Bo nawet w czasie wojny dzieje się tyle grzechów i zbrodni!... Ludzie śmiali się i w naszych czasach z gróźb Bożych, lub mówili, że niema Boga! Nawoływania Papieży i biskupów nie były słuchane. I przyszła straszna kara Boża, okropna i długa wojna i zdaje się, że wszystko w zagładę obróci! Ludzie modlą się o pokój, lecz Bóg nie wysłuchuje rychło próśb naszych. My teraz nie zmienimy woli Bożej, wola Boża musi się wypełnić do końca! My nie oznaczymy miary gniewu Bożego! Stanie się, co Bóg zamierzył.

Lecz nie zapominajmy, że Bóg jest miłosierny! Ma on z pewnością najświętsze zamiary! Pragnie przez chłostę wojny poprawić i uleczyć ludy i na nowo do szczęścia i zbawienia je prowadzić.

Różaniec wraca wiarę.

Przed niewielu laty pewien kapłan bardzo godny, starszy już wiekiem, znajdował się w towarzystwie kilku panów. Toczyła się rozmowa o różnych rzeczach, zaczęto nareszcie mówić o religii. Jeden z tych panów rzucił te słowa: Chciałbym wierzyć, ale nie mogę; ilekroć myślę o rzeczach wiary, nasuwa mi się wiele wątpliwości. Kapłanowi żal się zrobiło tego człowieka, który mu się zresztą wydawał dosyć rozumnym i o którym słyszał, że jest prawym. Wziął go tedy na bok i rzekł mu: „Jeżeli pan chcesz mieć wiarę, to się módl“. I darował mu różaniec mówiąc: „Przyjm pan ode mnie ten różaniec, a otrzymasz od Boga dar wiary, jeżeli go będziesz odmawiać“.

Po trzech latach otrzymał od tego pana, który mieszkał odeń daleko list, w którym mu pisał: „Różaniec, który mi Ksiądz Dobrodziej darowałeś i jego słowa: „Odmawiaj różaniec“ nie dały mi spokoju. Długo nie odmawiałem różańca, zdawało mi się nawet śmiesznem, bym ja, człowiek wykształcony odmawiał różaniec, jak ludzie z gminu. Nie wiedziałem zresztą, jak się odmawia różaniec. Trzymałem go jednak w biurku, a ilekroć przyszły mi wątpliwości o wierze, przychodziły mi na myśl słowa Waszej Wielebności: „Odmawiaj różaniec“. Po długim czasie, dowiedziawszy się prawie przypadkiem, jak się odmawia różaniec, wziąłem go raz i drugi do kościoła i tam odmawiałem tak, by moi znajomi nie widzieli, że go trzymam w ręku, bo wstyd fałszywy nie pozwalał mi pokazywać się z nim publicznie. Powoli zacząłem uczuwać smak w modlitwie. Wątpliwości moje o wierze zniknęły; przystąpiłem do spowiedzi, której już dawno nie odprawiłem. Dzisiaj jestem katolikiem wierzącym i gotowym życie dać za wiarę; pragnę, co tylko w mej mocy, czynić dla rozszerzenia Królestwa Bożego na ziemi. Wielebności Waszej dziękuję za radę, która do Boga przywiodła duszę moją“.

Nie szydź z zastępcy Chrystusa.

W zapusty roku 1863, chcieli tak zwani Italianissimi z Citta di Castello w Perudżi, w szyderski sposób przedstawić Papieża, jak udziela Kardynałom posłuchania. Komedya ta odbywała się na rynku miasta, w sposób najobelżywszy dla Głowy Kościoła. Po tej komedyi poskładano maski i ten, co przedstawiał Papieża udał się także do domu. Lecz skoro przekroczył próg swego mieszkania, zawołał nagle: „Księdza, księdza!“ — i paraliżem tknięty, padł na ziemię. Posłano natychmiast po księdza; lecz skoro ten przyszedł, komedyant był: trupem.

Potrzeba składek na Kościoły.

W r. 1913 Książę Biskup krakowski rozejrzawszy się po świeżo objętej dyecezyi, wydał odezwę o składki i datki na budowę kościołów. Założył też Związek mszalny, zapewniający korzyści duchowne tym, którzy się doń zapiszą i złożą jednorazową skromną ofiarę 2 K.

Jeśli już wówczas dawał się odczuć brak kościołów tak wielki, że ludzie zmuszeni byli chodzić do kościoła nieraz ze wsi o kilkanaście kilometrów oddalonych, to cóż dziać się będzie po tej strasznej wojnie, która całe setki kościołów zmiata z powierzchni ziemi naszej. Pasterz dyecezyi krakowskiej bolał przed dwoma laty nad tem, że nie każda wieś ma swój kościół — a dziś są okolice, gdzie jeden kościół został na przestrze-

ni kilku albo kilkunastu mil kwadratowych, a i ten czasem jest zestrzelany, podziurawiony, na pół rozwalony.

Oczywiście trzeba przedewszystkiem ratować te budynki kościelne, które stoją, lecz są zagrożone zawaleniem, zrabowane, spustoszone. To pierwszy obowiązek. Trzeba dalej odbudowywać zniszczone kościoły parafialne w starych parafiach. Pochłonie to znaczne sumy, ale przy pomocy Bożej, nie wątpimy, że da się przeprowadzić. Lud nasz dba o swoje kościoły, i nie braknie takich, co na ten cel chętnie dadzą ostatni grosz.

Ale źleby było, żeby spuszczono z oka piękny cel, wytknięty w owem wezwaniu biskupiem, aby dążyć do stawiania kościołów we wsiach, które ich dotąd nie miały.

Rozdrabianie parafii nie zawsze u nas jest chętnie widziane. Wydaje się niektórym ujmą dla parafii, by od niej odrywano tę lub ową wieś i zakładano w niej nową parafię. Rzecz ta przedstawia też istotnie pewne trudności. Ale przedstawia z drugiej strony wielkie korzyści dla ludu. Jakże miłym jest dla katolików blizkie sąsiedztwo z P. Bogiem utajonym w Najśw. Sakramencie! Jak miłą jest myśl, że do kościoła mogą zdążać nie tylko kilka razy na rok, od wielkiego święta, ale co niedzielę, bez trudu nawet codzień, o ile im obowiązki na to zezwalają. Jakim spokojem napełniać musi wierzącego katolika ta pewność, że gdy zachoruje, ksiądz z P. Bogiem będzie mógł szybko przybiedz i przynieść mu pociechę, choćby to było w zimie i w zawieruchę!

Kościół we wsi, to główne ognisko wszystkiego, co wznioślejsze, co dobre i szlachetne. To punkt zborny, to słońce, z którego rozchodzą się promienie ciepła i światła. To środowisko i początek cywilizacyi. Gdy ujrzę w środku wsi kościół zgrabny i schludny, z ładną wieżą, pięknemi drzewami otoczony, robi mi się wesoło i swojsko na sercu. Wieś bez kościoła i bez dzwonów jego jest ponura, zimna, martwa.

Zauważyliśmy w ostatnich latach jedno zjawisko. Oto gdy do parafii należało kilka wsi, a ludność się zwiększała, kościół stary nieraz okazywał się za ciasnym. Marzeniem wtedy stawało się parafii, marzeniem zwłaszcza księdza proboszcza módz powiększyć stary kościół, aby więcej ludzi pomieścił. I wiele takich powiększeń zrobiono, psując przy tem i szpecąc piękny dawny budynek, wycinając drzewa, które go wieńcem otaczały. Budynku nie można bezkarnie rozszerzać lub przedłużać dowolnie. Traci kształt i sens, z pięknego staje się szopą niezgrabną, budą bezkształtną. A nadto jeszcze gdy do starych murów dobudujemy nową część, zdarza się często, że budynek się rysuje i wali.

Czyż nie lepiej i nie pożyteczniej byłoby, zostawić stary kościół, jakim jest, a za to oderwać od parafii tę lub ową wieś odleglejszą i wystawić tam nowy kościół. Starego kościoła się nie zeszpeci i nie uszkodzi, a parafianie będą mieli większą wygodę, zysk moralny i ułatwioną pomoc duchowną. Nie mówię już o tem, jak miło będzie ludziom że mają we wsi swój kościół, nie potrzebują w zimie i w szarugę biegać do innej dalekiej wsi lub miasteczka.

Więc pamiętajmy o pięknem życzeniu Księcia-biskupa krakowskiego, by każda wieś nasza miała swój kościół. Kto może niech do tej sprawy dorzuci swoją cegiełkę, a uczyni rzecz dobrą i zbożną.

Dr Stanisław Tomkowicz.

Plotki - początkiem kłótni i niezgody.

W pewnej wiosce, gdzie długie lata pokój i zgoda panowały między mieszkańcami, wybuchnęły niezgody i niepokój. Sąsiad stał się nieprzyjacielem sąsiada, rodzina jedna nie sprzyjała drugiej, dzieci nawet opanowała chęć do kłótni i obelg, tak, iż w szkole wstrzymać się nie mogły od wzajemnych szyderstw i łajania.

Ksiądz Proboszcz bolał nad tem i pilnie badać zaczął, skąd niepokój powstał tak nagle i jego parafię w prawdziwe piekło zamienił. Po długiem badaniu przyszedł wreszcie do wniosku, że wszystkiemu winien owocarz. Istotnie, jakiś obcy człowiek, który dawniej handlował owocami i zebrał sobie trochę pieniędzy, od roku osiadł w tej wiosce i dla swojej zabawy, zwykł był odwiedzać sąsiadów. Obrał sobie za rzemiosło robienie plotek: co usłyszał w jednem domu, powtarzał w sąsiednim, zawsze oświadczając przy tem: „Nie powinienbym wprawdzie tego mówić, ale w zaufaniu, — tylko mnie nie zdradzajcie, — miałbym z tego nieprzyjemności, — ale tylko pod sekretem powiem wam, co ten a ten, ta a ta, pozwalają sobie o was gadać. — Ale, nie! — wolę nie powiedzieć, lepiej tak będzie; tylko gniewalibyście się, a toby wam szkodzić mogło. Lepiej rozmawiajmy sobie o czem innem“. — Naturalnie tem większą zaostrzał ciekawość; nalegano na niego, proszono, błagano, przysięgano zachować milczenie — wreszcie, po licznych prośbach, zwierzał się ze swoją tajemicą. Plotkarz nie poprzestał nigdy na czystej prawdzie, sam przydał niemało jątrzących rzeczy, śmiał się w duchu, widząc, że słuchaczów do wielkiego gniewu przywiódł, ale zwykle dodawał: „Czyżbym ja naprawdę wierzył temu, co o was mówią! zanadto jesteście prawego charakteru, ale — jak powiedziałem, tak o was mówią tam i tam. Tylko mnie nie zdradźcie!“

Słuchacze rozgniewani, jak się tego spodziewał, zaczynali wygadywać obelżywe rzeczy o tych, którzy ich obmówili, a plotkarz spieszył te obelgi z licznymi dodatkami własnej fabrykacyi, jak najprędzej zanieść do tych, kogo tyczyły. Tak więc nędznik, w ciągu jednego roku, całą wieś zamienił w piekło niepokoju.

Po długim namyśle, jak zaradzić złemu, zacny Proboszcz chwycił się następującego środka: zaprosiwszy w niedzielę po południu wszystkich gospodarzy na plebanię, przypomniał im dawne święte czasy, kiedy prawdziwie chrześcijański pokój panował we wsi i zapytał, czy wiedzą przynajmiej, skąd to pochodzi, że teraz taka niezgoda we wsi panuje? Wieśniacy zmieszali się i byli niespokojni, co powie Proboszcz; sami nie chcieli odezwać się, każdy bowiem w sercu sąsiadowi winę przypisywał. Poważnie i uroczyście Proboszcz podniósł teraz swój głos, i rzekł: „Jeden tylko jest nieprzyjaciel, który was wszystkich nieprzyjaciółmi uczynił, jednego przeciw drugiemu podburzał, jeden tylko jest czart, który wszędzie zasiał ten kąkol, a tym nieprzyjacielem, tym czartem, jest owocarz“. Proboszcz zaczął potem wypytywać, co ten lub ów ma do zarzucenia swemu sąsiadowi, a każdy przytaczał za powód obmowę w domu sąsiedzkim, na dalsze zaś pytania, kto pierwszy doniósł o takiem obmawianiu, jedna u wszystkich była odpowiedź: „Owocarz!“

Teraz zrozumieli wieśniacy, że owocarz swemi plotkami i kłamstwami tak ich poróżnił. Przypadkiem Proboszcz, spojrzawszy przez okno, spostrzegł idącego owocarza; zawołał go więc, aby wstąpił na chwilkę do plebanii. Ten nic złego nie domyślając się, dumny nawet, że go ksiądz Proboszcz zaprasza, przyszedł na zawołanie. Ale jakaż burza wybuchnęła, gdy stanął pośród zgromadzonych. Na dziesięć lub dwadzieścia zapytań musiał naraz odpowiadać. „Ty łotrze!“ krzyczał jeden, „kiedy ja o moim sąsiedzie to a to mówiłem? Jak ty śmiałeś tak bezczelne łgarstwa kłaść w usta moje?“ „Ostatni hultaju!“ wołał na niego drugi, „odważysz się teraz powtórzyć, co o mnie tam i tam mówiono, że kradłem siano sąsiadom?“ Tak jedno pytanie po drugiem rzucano mu w oczy; struchlał owocarz. „Twoje szczęście nędzniku,“ wrzeszczeli inni, grożąc mu pięściami, „jesteśmy na plebanii; inaczej tęgobyśmy ci skórę wytrzepali“. Owocarz, którego teraz gadatliwość całkiem odbiegła, z trudnością zdołał wybełkotać kilka słów na swe usprawiedliwienie, ale kazano mu milczeć, i naradzano się, jak postąpić należy z niepoczciwym wichrzycielem pokoju. Większa część gospodarzy była tak rozjątrzoną, że domagali się gwałtownych środków, naprzykład, piętnowania go, lub wynagrodzenia kijami złych jego usług. Ale Proboszcz zabrał głos i rzekł: „Najlepszy środek podaje nam samo Pismo święte; powiedziano jest mianowicie w Przypowieściach Salomona: „Gdy nie stanie drew, zgaśnie ogień: gdzie niemasz podszczuwacza, ustaną zwady“. Pójdźcie za tą radą, moi najmilsi! Jako chrześcijanie, nie powinniście złem za złe odpłacać temu, kto was obraził: ale możecie i powinniście wypędzić podszczuwacza, który i bez tego nie należy do waszej gminy, a pobytu pomiędzy nami stał się niegodnym, ponieważ całą wieś napełnił niepokojem“. Do tego wniosku przychylili się wszyscy gospodarze, i oznajmiono owocarzowi, że w przeciągu 24 godzin powinien opuścić wieś i gminę, w przeciwnym bowiem razie udadzą się do władzy o wyrugowanie go wedle przepisów. Ale plotkarz nie potrzebował i 24 godzin do wyprowadzenia się; w nocy bowiem wyniósł się cichaczem, słusznie obawiając się, że nazajutrz, gdy wieśniacy w dłuższe wejdą z sobą rozmowy, a wszystkie jego kłamstwa na jaw wyjdą, spotkać go mogą czynne i dla skóry niezdrowe podziękowania ręczne. Z odejściem plotkarza, pokój wrócił znowu do wsi.

Dziedzictwo po matce.

W roku 1830. wybuchła we Francyi znowu rewolucya. Prawowity król Karol X. został wypędzony, a w jego miejsce Ludwik Filip, tak zwany król mieszczan, na króla wyniesiony. W takich przewrotach nie obejdzie się nigdy bez tego, aby mnóstwo ludzi, zajętych przy urzędach, nie było usuniętych. Ci co wiernie stali przy dawnym królu, zostali usunięci, a ich miejsce stronnicy nowego rządu zajęli. Nic tedy dziwnego, że wiele rodzin urzędniczych wpadło w nędzę, choć na taką zmianę losu z początkiem roku wcale nie były przygotowane.

Właśnie na koniec tego roku przypada zdarzenie, które opowiadamy. Było to w Paryżu na poddaszu bardzo zaludnionego domu, w najodleglejszej dzielnicy ogromnego miasta. Bardzo uboga kobieta leżała na śmiertelnej pościeli. Syn jej, młodzieniec 18-letni drżał od zimna, siedząc na lichym stołku przy łożu matki i cicho płakał. Dawniej lepiej im było. Ojciec tej rodziny miał posadę przy dawnym rządzie, ale ponieważ wierność dla króla wyżej cenił jak szczęście doczesne, nie chciał przyjąć ofiarowanej sobie posady od nowego rządu. Synowi swemu dał wychowanie staranne, ale żadnego majątku zostawić mu nie mógł. Gdy tedy wierny ten sługa wygnanej rodziny królewskiej tak nagle z wygodnego życia wpadł w nędzę nieuniknioną, zgryzota i zmartwienie położyły wkrótce koniec jego życiu, podczas gdy żona jego i syn nic nie mieli prócz uczciwego imienia i coraz wzmagającego się ubóstwa. Już podczas choroby ojca wszystkie meble i ko-

sztowności poszły do domu zastawnego bez nadziei, żeby je kiedy wykupić. Matka straciła siły z pracy i bezsenności a po pogrzebie męża padła na łoże boleści z tą jedyną pociechą, że się w niebie wkrótce z mężem połączy, choć z drugiej strony serce się jej krajało na widok syna młodego, niedoświadczonego i na wszelkie pokusy w tym wieku wystawionego. Nie będąc pewną, jaki koniec będzie jej choroby, oddała cnotliwa wdowa wolę swoją całkowicie w ręce Boskiej Opatrzności. Z głębi serca wyrzekła to wielkie słowo: „Niech mi się stanie według słowa Twego“, a serce jej przepełnił dziwny spokój, który się przebijał na wesołem jej obliczu i w łagodności oczów jej, tak, że syn myślał, że jest nadzieja wyzdrowienia ukochanej matki.

Tymczasem choroba z dniem każdym się wzmagała. Dusza jej nic nie straciła z dawnej siły, ale ciało już dogorywało. Spoglądając na obraz ukrzyżowanego i N. Panny, rzekła do syna:

— Alfons, która godzina?

— Właśnie bije dwunasta! — odrzekł syn.

— Dobrze... Właśnie teraz zastaniesz księdza proboszcza. Idź do niego i proś go, aby był łaskaw mnie odwiedzić.

Kapłan przybył i udzielił jej ostatnich Sakramentów świętych. Alfons poznał, że zostanie sierotą. Upadł tedy na kolana i płacząc całował ręce umierającej matki.

— Drogi synu — rzekła matka — taka wola Boża! Jeszcze dziś muszę cię porzucić... czuję że się koniec mój zbliża. Mogę ci tylko dać moje błogosławieństwo i Bogu cię polecić... On ci będzie ojcem, biedna sieroto... a Ona... Ona ci będzie matką, ta błogosławiona Dziewica, której obraz na mnie spogląda i pociesza mnie w ostatniej godzinie! Mój synu, ręka, która nas chłoszcze jest miłosierna, rany, która ona zadaje, noszą w samych sobie kojący balsam. Nie narzekaj na tę Boską rękę, mój synu; zostawiam cię samego na tym świecie w nędzy i niedostatku, ale nadzieja moja mnie nie zawiedzie... Bóg będzie osłaniał sierotę opuszczoną, a choćbyś na tej ziemi miał być ubogim i nieszczęśliwym, to w niebie kiedyś zobaczysz znowu twoich rodziców.

Rzekłszy to, wyjęła z pod poduszki stary różaniec i podała go synowi.

— Kiedy ludzie umierają — rzekła — zostawiają w spadku dzieciom pieniądze i majątek; ja ci nic zostawić nie mogę, jak tylko nadzieję, że mnie kiedyś w niebie u P. Boga obaczysz; a następnie zostawiam ci jako zadatek tej nadziei ten oto Różaniec. Weź go. On ci przywodzić będzie na pamięć dwie matki, obie w niebie! To moja nadzieja! On cię zachowa od niebezpieczeństw i sideł tego życia; on ci się stanie kluczem do nieba! Codzień go odmawiaj na moją pamiątkę i na cześć Tej, której opiece cię odaję. Przyrzeknij mi to Alfonsie!

Alfons wziął ten dar pobożny, całował go długo i wśród łez i łkania zawołał z głębi serca:

— Dobrze, dobrze kochana matko, przyrzekam ci, aż do ostatniego tchu życia mego.

— Mój synu, błogosławię cię — odrzekła matka. Bądź zdrów! do widzenia w niebie! Przycisnęła syna do serca, opadła na poduszki i wkrótce ducha oddała w ręce Boga.

Boleść syna była niezmierna. Ledwie go oderwać zdołano od zwłok matki. Pobożne osoby zajęły się nim, a młodość zwyciężyła pierwszą i najgwałtowniejszą boleść. W kilka dni potem gdy już do siebie przychodził i uspokoił się nieco, musiał pomyśleć, jak sobie na kawałek chleba zapracować. Tylko jedna droga zdała mu się być najodpowiedniejszą: chciał wstąpić do wojska, bo już w dzieciństwie kochał ten stan. „Zawsze to pięknie, mówił do siebie, służyć ojczyźnie, mniejsza o to, jaką rangę będę w wojsku zajmował“.

W istocie w wiele lat po śmierci matki widzimy Alfonsa w randze komendanta batalionu przy piechocie. Aby się lepiej przypatrzyć, jak mu się powodzi, musimy się udać aż do Krymu.

Nasz Alfons ma właśnie 43 lata. Długi czas służył w Algieryi i brał czynny udział w zwycięskich wyprawach. W tym kraju, który przez długi czas był jedyną szkołą męstwa Francuzów, na polu bitwy pod Isly zasłużył sobie na krzyż legii honorowej, który teraz piersi jego zdobi. Sława jego męstwa aż do Krymu dotarła. W sławnej bitwie nad Almą był jednym z najmężniejszych i to w okoliczności, w której wszyscy żołnierze bohaterami się być zdali.

Ale cóż? z męstwem jego nie szła w parze pobożność. Alfons z czasem zmniejszył swe ćwiczenia pobożne. Wpadł w towarzystwo ludzi bezbożnych, a powoli stracił prawie nawet wiarę. Mimo to nigdy nie stał się niewiernym obietnicy danej matce, którą zawsze na pierwszem miejscu w swem sercu zachował. Różaniec od matki towarzyszył mu we wszystkich wyprawach. Zachował jeszcze resztki wiary, a ta zniewalała go obietnicę matce uczynioną dotrzymać. Codzień odmawiał Różaniec, czy był w garnizonie, czy w namiocie, czy na polu bitwy. Nie zawsze to była pobożność, która go zniewalała do tej modlitwy, czasem jakaś ukryta bojaźń, by nie stracił niewidzialnej kierowniczki swego życia. Dosyć, że po rycersku słowa dotrzymał. Prawda, że nieraz sam się śmiał z tego, i nazywał to głupim zabobonem, ale i to go nie mogło odwieść od dotrzymania swej przysięgi. Od kilku lat była to jedyna modlitwa, którą odprawiał. Ale Bóg i przez tę jedyną modlitwę zachowywał go przy życiu.

W przeddzień pamiętnej krwawej bitwy pod Inkermanem udał się Alfons około wieczora, znużony długą i uciążliwą służbą, do namiotu, W płaszcz otulony rzucił się na twarde łoże i

zasnął. Zaledwie może godzinę spał, tentent kopyt końskich ze snu go zbudził. Zerwał się i przysłuchiwał. — To nic — rzekł do siebie, i znowu się rzucił na łoże, ale w tej chwili poczuł w kieszeni jakiś przedmiot.

To rzekłszy, zeskoczył Alfons z łoża, usiadł i zaczął odmawiać Różaniec. Wśród modlitwy różne myśli mu przychodziły, które głośno wyrażał. Między innemi mówił: Cóż jest lepiej? co najrozumniej: Czy upaść na kolana przed Bogiem, jakem to czynił w młodości, jak czynili ojciec i matka i myśleć o życiu wiecznem, albo żyć, jakem żył dotychczas, bez troski o Stwórcę i o to, co mnie poza grobem czeka? Ależ precz!... głupie myśli... jutro wam dam audyencyę...

— Czemuż nie dzisiaj komendancie? — rzekł głos, którego znany ton przeraził oficera.

— Ojciec tutaj? — zawołał Alfons zdziwiony. — Ojciec słyszał me słowa?

— Tak jest — odrzekł kapelan polowy, siadając obok komendanta. Właśnie odmawiałem modlitwy nad konającymi rannymi. Boska Opatrzność widocznie mnie tędy prowadziła właśnie wtenczas, gdyś pan monolog ze sobą prowadził i to tak głośno, żem go dobrze słyszał. Z tego wnoszę, że mój urząd mógłby panu być teraz korzystnym, i dlatego bez ceremonii wstąpiłem do namiotu.

— Dzięki ci, mój Ojcze — rzekł oficer wzruszonym głosem, dobrze Ojciec myślał i dobrze zrobił.

Podał księdzu rękę, w której jeszcze trzymał Różaniec. Ten uścisnął ją.

— Jakto? Pan mówisz Różaniec?... Dotychczas uchodziłeś pan, panie komendancie, za jednego z najdzielniejszych, ale, mój Boże, nie wiem, czyby kto się był znalazł, ktoby pana do pobożnych policzył.

— Rozumiem dobrze, twoje zdziwienie, mój Ojcze... Widzi Ojciec, to długa historya z tym Różańcem; a jeżli Ojciec zechce, to ją opowiem.

— I owszem panie komendancie, słucham, słucham! — rzekł kapłan.

— Widzi Ojciec, już 25 lat, w których ani razu, mówię, ani razu nie opuściłem Różańca.

— Czy to być może? — zapytał zdziwiony kapelan.

— Tak jest — odparł Alfons — ale od blizko 20 lat jest to jedyne nabożeństwo, które odprawiam... czyniłem to jedynie dla pamięci mej matki!

— To nic nie szkodzi — dodał kapelan — ta wytrwała wierność we wzywaniu Matki Boskiej, nie będzie z pewnością bez nagrody.

Teraz zaczął oficer opowiadać całą historyę swego życia, podczas tego nieraz łzy z oczu ocierając. Lżej mu się zrobiło na sercu. Gdy skończył, podał mu kapelan rękę i zawołał.

— A teraz, mój przyjacielu, czyś pan jeszcze zdecydowany, rozstrzygnienie owego ważnego pytania, które pana przed godziną zaprzątało do jutra odłożyć?

— Nie, wielkie pytanie już rozstrzygnięte — odparł oficer.

— W jaki sposób? — zapytał kapelan zaciekawiony.

— W myśl Boskiej Opatrzności, która tak zarządziła i Ojca o tej godzinie do mnie sprowadziła, aby Ojciec dopomógł do spełnienia przepowiedni mej konającej matki. Spadek po matce nie powinien chybić swego celu — a skorom tak długo nosił przy sobie klucz do nieba, nie chcę w piekle się palić... Mój Ojcze, proszę mnie zaraz wysłuchać spowiedzi!

I natychmiast rzucił się Alfons do stóp kapłana i wyspowiadał się. Nim się pożegnali, serdecznie się uściskali.

— Jakiż to kosztowny spadek po matce! Nigdy nie wzywamy Królowej nieba na próżno. Teraz mamy nowy tego dowód!

— A teraz niech przyjdą bomby i granaty! dodał Alfons; paszport mój podpisany. Pokażę mój klucz do nieba i ufam, że go tam w niebie uznają, jakeś go Ojciec uznał na ziemi! Bądź zdrów, mój Ojcze!

Oficer resztę nocy spędził na modlitwie. Dusza jego była pełna wdzięczności ku Bogu, że spoczynku nie potrzebowała. Nazajutrz zawrzała walka pod Inkermanem. Francuzi odnieśli świetne zwycięstwo, ale kosztem wielu drogich mężów. I Alfons tam był — i nie powrócił. Znaleziono go między zabitymi. W prawej ręce trzymał jeszcze szpadę, a około rękojeści owinięty był Różaniec, jako dziedzictwo po matce.

Miłość buduje.

Pewien pleban wracał z sąsiedniej wioski i mówił po drodze brewiarz. Dwaj młodzieńcy, gdy mijali kapłana, zaczęli się śmiać szyderczo, ale idąc szybko, wkrótce kapłana daleko za sobą zostawili.

To spotkanie z kapłanem, dało im sposobność mówienia o religii, czyli raczej o jej braku, t. j. o niedowiarstwie swojem.

— Ja nie mogę znieść księży! — rzekł jeden.

— I ja tak samo — odparł drugi.

— Oni sami nie wierzą w to, czego uczą.

— To tylko interes, jak każdy inny.

— Religia to rzecz dobra dla starych bab.

— I dla małych dzieci.

— Religijne narody nie lepsze, jak inne.

— W ogólności przynajmniej!

I tak coraz dalej i dalej rozmawiając, spostrzegli nagle żebraka, który siedząc przy drodze wyciągał rękę, prosząc o jałmużnę. Żebrak ten, łachmanami odziany, blady, wychudły, bolesny przedstawiał widok. Młodzieńcy dali mu kilka groszy i szli sobie dalej.

— Założę się, że mu proboszcz nic nie da — rzekł jeden z nich.

— Zaczekajmy i uważajmy — odparł drugi.

— Wiesz co? — rzekł pierwszy — stańmy sobie za płotem, bo gdy nas obaczy, to mu da co, abyśmy widzieli; a jeśli się skryjemy, poznamy prawdziwe jego usposobienie.

Jak rzekli, tak zrobili. Obaj skryli się za płot, wkrótce potem przechodził tamtędy proboszcz, w modlitwie zatopiony.

Rozumie się, że żebrak i jego prosił o jałmużnę.

Kapłan spojrzał na niego, zamknął brewiarz i szukał pieniędzy po kieszeniach.

— Mój biedaku — rzekł, jeszcze szukając — rzeczywiście zdaje mi się, że w tej chwili nic nie mam przy sobie.

Młodziankowie zaczęli się szyderczo śmiać za płotem.

— Nie mówiłem ci? — szepnął jeden.

Kapłan szukał jeszcze, aż się przekonał, że w istocie nic przy sobie nie ma.

— A to prawdziwy kłopot; ani grosza nie mam przy sobie — rzekł.

— Słyszysz? — mówili do siebie zodowoleni.

Kapłan litośnie spojrzał na żebraka i spostrzegł, że licho i nędznie był odziany.

— Pewnie wam bardzo zimno w waszem odzieniu — rzekł.

— Z pewnością, proszę Jegomości — zapewniał żebrak.

— No to poczekajcie chwileczkę.

To mówiąc, położył proboszcz brewiarz na murawie, obejrzał się na wszystkie strony, zdjął swoje palto, dał go żebrakowi i pomógł mu go wdziać.

— Tak, mój przyjacielu, weź ten surdut, przynajmniej nie będzie ci zimno, a ja wkrótce będę w domu. Nie mów nikomu nic o tem, ale módl się za mnie!

Żebrak ze łzami w oczach dziękował. Kapłan zaś szybko teraz szedł w sutannie i dalej mówił brewiarz.

Nazajutrz rano obaj młodzieńcy przyszli do kościoła i do spowiedzi.

Wspaniałomyślne miłosierdzie tego kapłana zawstydziło obu szyderców, wzruszyło i nawróciło. Uczynna miłość kapłana była powodem, że już dłużej nie opierali się łasce i zmiłowaniu Bożemu. W miejsce obojętności nastąpiła żywa wiara, a Kościół pozyskał dwa dzielne i szlachetne serca.

Wiara w życiu ludzkiem.

Wiara jest to uznawanie za prawdę tego, co ktoś mówi. Wiara nadprzyrodzona jest uznawaniem za prawdę tego, co Bóg mówi, czyli objawia. Wielu nie chce tej objawionej prawdy przyjąć. Mówią oni: czego własnym rozumem nie docieknę, tego za prawdę nie uznam. Tak mówią, a wręcz przeciwnie postępują. Wszak w życiu codziennem jest się ciągle od zdania innych zależnym.

Kiedy człowiek przychodzi na świat, rozum jego nie posiada jeszcze żadnych wiadomości. Jest on, jak powiadali Rzymianie, „tabula rasa“ — papier niezapisany. W miarę rozwoju zapisuje się ten „papier“ naszego rozumu; zapisują się na nim najpierw nasze osobiste spostrzeżenia i doświadczenia, a potem wadomości, dostarczone nam przez innych. Tych wiadomości dostarcza nam szkoła, kazalnica, czytanie książek i gazet i obcowanie z ludźmi. Przyjmując te wiadomości, wierzymy w ich prawdę dla powagi tych, co nam je głoszą.

Uznawanie powagi innych nad sobą w dziedzinie różnych wiadomości nikomu bynajmniej nie ubliża. Kiedy ktoś zachoruje, poddaje się rozporządzeniom lekarza; podróżny, choćby najuczeńszy, pyta o drogę przechodnia i za jego wskazówką idzie. Każdy tak postępuje; życie swoje powierza nieraz innym, bo sobie mówi: „Oni w tej sprawie więcej wiedzą ode mnie, więc zasługują na wiarę i należy im się ode mnie uległość“. Tak postępuje w życiu zawsze nawet ten, co kiedyindziej prawi: „czego własnym rozumem nie poznam, w to nie wierzę“. W ten sposób wszyscy ludzie, bez względu na zajmowane w społeczeństwie stanowisko, są związani węzłem wzajemnego zaufania, wypływającym ze wzajemnej ku sobie wiary.

Źleby było na świecie, gdyby tego węzła wzajemnej wiary między ludźmi nie było; każdy musiałby własnym rozumem wszystkiego dociekać i doświadczać. A wtedy ustałaby wszelka nauka, wiedza i postęp na świecie. Niedowiarek, nie chcący przyjąć objawienia Bożego za prawdę, iż tej prawdy sam nie dociekł, powinien dalej zaprzeczyć całej historyi. Nie powinno więc być dla niego ani Aleksandra Wielkiego, ani Hannibala, ani Napoleona, bo on ich nie widział. Że istnieje jakaś Ameryka, albo Australia, lub, że się ziemia obraca koło słońca, to też —według takiego — winno być nieprawdą; wszak on tam nie był i tych rzeczy nie zbadał. A to, co teraz piszą i opowiadają o jakiejś wielkiej wojnie, to także fałsz; on tam nie był, tej wojny nie widział, więc nieprawda, jakoby ona istniała.

Do takiego głupstwa dochodzi się z bezbożnem mędrkowaniem. Nie przyjmujący bowiem objawienia Bożego, nie powinien przyjmować i objawienia ludzkiego. A gdyby tak każdy na własnem tylko doświadczeniu i rozumie się oparł, świat popadłby w taki straszny zastój i ciemnotę, jakiej nigdy nie było. Na świecie musi między ludźmi panować wiara. Na tem gruntuje się wszelka wiedza i postęp. A jeżeli w rzeczach ziemskich rozum domaga się uznania powagi ludzkiej, czyli wiary — to samo

rzec trzeba o religii. W rzeczach religii tem więcej nawet tej wiary trzeba, boć tu chodzi o rzeczy nadprzyrodzone, a więc do pojęcia trudniejsze i dla czystego rozumu, w ich dociekaniu, niedostępne. Czysty rozum ludzki docieczе istnienia Pana Boga. Z istnienia Boga, jako Istoty Najwyższej, od której wszystko pochodzi, wywnioskuje Jego wszechmoc, wieczność, nieskończoną mądrość, wierność, prawdę i t. d. Kiedy jednak Ten nieskończenie mądry Bóg objawia mu inne prawdy, które często dla słabości ludzkiego umysłu pozostać muszą tajemnicami, wzdraga się przed nimi w swej pysze człowiek. „Tego nie rozumiem, więc nie wierzę temu" — mówi. — On więcej jeszcze świeckich rzeczy nie rozumie, a jednak wierzy w nie, nie chcąc uchodzić za głupka. Bożym prawdom, powiada, że nie wierzy. Czemu? Bo one nakładają na człowieka pewne obowiązki. Wierzenie idzie w parze z życiem samem. Życie na wierze oparte musi być pod każdym względem czyste. A to dla niektórych mędrków — niewygodne!...

Trucizna.

Pewien ojciec, czy to przez zapomnienie, czy niedbalstwo często zostawiał wiele złych książek i powieści na stole, tak, że dzieci jego mogły je przeczytać. Jeden z przyjaciół zauważył to i słusznie oburzył się na takiego ojca z litości dla dzieci. Nie powiedział mu jednak nic, dopiero wróciwszy do domu rozmyślać począł, jakimby sposobem zaradzić złemu i dać nauczkę przyjacielowi. Gdy raz ojciec ten miał przyjść do niego, położył na stole u siebie kilka paczek z truciznami, których nazwy wypisane były na wierzchu. Ojciec ów przybywszy wnet wziął do ręki leżące na stole pakiety i zauważył, że są to straszne trucizny; zawołał więc:

— Jak możesz takie rzeczy zostawiać na wierzchu; masz przecież dzieci; jeśli więc które z nich weźmie to przez ciekawość do ręki i podniesie do ust, co się wtenczas stanie?

— Źle zrobiłem, to prawda, rzecze przyjaciel. Ale czy ty lepiej postąpiłeś, zostawiając w rękach twych dzieci książki, zawierające jeszcze gorszą truciznę? Czy sądzisz, że można czytać takie książki bez szkody dla niewinności i czystości? — a czy niewinność duszy nie znaczy choćby tyle, co zdrowie ciała?

Upomnienie to wywarło wielkie wrażenie na lekkomyślnego ojca. Zamknął wnet pod klucz złe książki, żeby dzieci nie mogły do nich się dostać, następnie zaś po głębszem zastanowieniu wszystkie dzieła i broszury szkodliwe i bezbożne z domu wyrzucił i spalił.

Czterej Napoleonowie.

Cesarz Napoleon I. wstąpił na tron francuski, jako oswobodziciel narodów i obrońca papiestwa. Był szczęśliwym, jak długo Ojca świętego nie prześladował: lecz następnie zabrał Mu państwo kościelne, tj. dziedzictwo Piotra świętego. Wtenczas stał Napoleon I. na szczycie swej potęgi; lecz wkrótce potem utracił tron i koronę — i umarł jako wygnaniec na wyspie św. Heleny. Miał on syna, który kiedyś miał nastąpić po ojcu, jako Napoleon II. Ale grzech ojca przyniósł nieszczęście synowi. Napoleon II. nie panował nigdy — umarł bardzo młodo i to na cudzej ziemi, we Wiedniu w Austryi.

Napoleon III. wstąpił na tron francuski — i on był wtenczas oswobodzicielem narodu i obrońcą państwa. Panował szczęśliwie, dopóki nie targnął się na Ojca świętego. Lecz w dniu w którym Papieża wydał na łup rewolucyi, w tymsamym dniu, w którym wojsko francuskie Rzym opuściło, przegrali Francuzi pierwszą bitwę z Prusakami. — Następnie przegrywał Napoleon jednę bitwę po drugiej, utracił tron i koronę i — umarł na wygnaniu, na jednej z wysp w Anglii.

Napoleon III. miał także syna, który kiedyś jako Napoleon IV., miał być cesarzem francuskim, ale grzech ojca sprowadził nieszczęście na syna. Napoleon IV. także nigdy nie panował — żył na wygnaniu w Anglii i umarł w kwiecie wieku na obcej ziemi, bo w Afryce, od dzikich Zulusów zamordowany.

A zatem czterech Napoleonów umarło na wygnaniu. Dwaj z nich targnęli się na Papieża, sprawili Mu niewymowną boleść i stracili tron i królestwo. Synowie ich pokutując za grzechy ojców, nie wstąpili nawet na tron i pomarli w obcych krajach.

— Gdybym teraz mógł powrócić do Europy — mówił Napoleon I. do jenerała Kethela, na wyspie św. Heleny — wołałbym do wszystkich panujących: „Nie walczcie z Papieżem, abyście tak nie skończyli, jak ja!"

To są fakta historyczne, które nie potrzebują wyjaśnienia.

Kobiety upijające się w czasie wojny.

W jednym z poprzednich numerów donosiliśmy, że rządy różnych państw wystąpiły w czasie wojny do stanowczej walki z pijaństwem. Dzięki Bogu i w naszym kraju ukazało się rozporządzenie Namiestnictwa, które ogranicza sprzedaż napojów upajających. Jednakowoż samo społeczeństwo musi dopilnować, ażeby ustawy były w poszanowaniu i ażeby nie szerzyło się pijaństwo, ta istna plaga ludzkości.

Niestety, ze smutkiem dowiadujemy się, że nawet w czasie wojny obrażają ludzie Boga

ciężko pijaństwem. Smutno o tem pisać, że ludzie przepijają te pieniądze, które otrzymali za bydło i rekwizycye wojskowe. Tyle biedy, tyle różnych potrzeb i teraz i po wojnie! Nie lepiej na coś dobrego użyć pieniędzy?! A ci nieszczęśni i zaślepieni ludzie wyrzucają pieniądze na marne, na pijaństwo!

Ale nic tak nie krwawi teraz serca, jak to, że pijaństwu oddają się kobiety!... Mężczyźni mniej piją, bo mało ich zostało w domu, bo wyruszyli na pole walki! Pozostały same kobiety! I we wsi i w kościele widać przeważnie kobiety! Czyż nie jest obowiązkiem kobiet pracować gorliwie, dbać o gospodarstwo i modlić się za mężów i braci, walczących wśród trudów i niebezpieczeństw!... Pewnie, że wiele pracowitych i zacnych kobiet tak pięknie, dzięki Bogu, sobie postępuje.

Ale co powiedzieć o tych kobietach, które prowadzą się lekkomyślnie i niemoralnie i które upijają się w tych ciężkich czasach?! Niestety, jest wiele takich kobiet! Smutno mówić, że zdarzają się wypadki dzieci nieślubnych, że kobiety, gdy otrzymają zapomogę wojskową, wstępują do karczmy i tam dużo pieniędzy przepijają! Takiem postępowaniem gorszą się nawet żydzi! Takie kobiety ściągają na siebie największy wstyd i godne są pogardy!

Dałby Bóg, ażeby jeszcze, póki czas, upamiętały się i zaczęły prowadzić się trzeźwo i moralnie. Bo posłuchajcie, w jak ciemnych barwach maluje kobietę-pijaczkę list pastęrski z roku 1895 ś. p. ks. kard. J. Puzyny:

„A cóż mówić wtedy, jeśli temu obrzydliwemu nałogowi oddaje się kobieta-żona i matka! Opłakany stan takiej rodziny, takiego domu. Kto tam dzieci wychowa, kiedy matka dzień cały się walęsa,a do domu nieprzytomna wraca? Kto je pacierza nauczy? Kiedy matka wciąż bluźni, przeklina, złorzeczy— to jej pacież codzienny — a dzieci za panią matką podobny pacierz powtarzają. Nic dziwnego, że dzieci takie bez bojaźni Bożej, bez miłości Boga i ludzi wychowane, idą w ślady bezbożnej matki i stają się zakałą społeczeństwa — plagą i nieszczęściem wioski. Ach! czy największy wasz nieprzyjaciel, czy najsroższy rozbójnik mógłby was przywieść do takiego stanu, do takiej nędzy, do jakiej nałóg pijaństwa was doprowadzić może? Pijak jest wrogiem samemu sobie, wrogiem własnej żony, męża i dziatek, zmartwieniem i wstydem dla parafii, boleścią dla swego Pasterza. Jeśli złodziej ukradnie ci trochę grosza — jesteś niepocieszony; jeśli Bóg ześle nieurodzaj albo klęskę jaką, ileż to żalów, może bluźnierstwa i klątwy z ust twych wychodzi; a sam stokroć bardziej niszczysz się własną swoją ręką, sam siebie i dzieci do nędzy prowadzisz, a na to jesteś nieczuły, bez wyrzutu, albo jeśli zawstydzisz się i zaboleјesz czasem, to lada pokusa, albo zły przyjaciel znów cię pociągnie i w dawny nałóg wpadasz“.

Zasługi Świętych polskich dla narodu.

Święty Jan Kanty.

Wielką i potężną była Polska w czasach, w których się urodził i żył św. Jan Kanty. Właśnie na trzy lata przed jego urodzeniem przyjął wielki książę litewski Jagiełło, z rąk prymasa polskiego, Bodzanty chrzest św. i zaczął w Polsce panować. Niebywałe w dziejach połączenie dwóch narodów, obcych sobie mową i pochodzenim: Polski i Litwy, dokonało się przez ofiarę serca królowej Jadwigi i przez chrześcijańską wiarę, a Bóg temu związkowi bratniej miłości tak pobłogosławił, że ich zjednoczone siły starły niebawem żelazną potęgę wspólnego wroga, Krzyżaków.

Szczęsny ród Jagiellonów wiódł oba narody Polski i Litwy do błogiego rozwoju. W obu krajach panował dobrobyt, rosła zamożność, rozwijała się nauka. Św. Jan Kanty był wtedy siedmioletnim chłopcem, gdy Papież Bonifacy IX., na prośby królowej Jadwigi, odnowicielki krakowskiej Akademii, która dotychczas liczyła trzy wydziały: prawniczy, lekarski i nauk wyzwolonych, pozwolił w tej najwyższej szkole wykładać świętą naukę Bożej mądrości, zwaną teologią.

Sławny prawodawca i miłośnik oświaty, król Kazimeirz wielki, zakladając niegdyś krakowską Akademię żądał, aby ta jego szkoła stała się „życiodajnem źródłem nauk“, z którego pełni mogliby czerpać wszyscy pragnący powszechnego światła; król Władysław Jagiełło, odnawiając na polecenie Jadwigi to Kazimierzowe dzieło, żąda znowu, aby „perła wiedzy przemożnej nęciła ku sobie mieszkańców, jak najodleglejszych krain z różnych stron świata i wydawała mężów dojrzałością rady znamienitych, jaśniejących ozdobą cnót, oraz różnej wiedzy pełnych.

Św. Jan Kanty był uczniem, a potem profesorem tej przesławnej krakowskiej szkoły. Spełniając wiernie pragnienia i myśli jej założycieli, tak rozumiał pracę nad krzewieniem oświaty w narodzie, że przedewszystkiem przykładem świątobliwego życia chciał budować i pouczać bliźnich w narodzie. Cenił on należycie światło rozumu i wiedzy, boć był jednym z celniejszych mistrzów, lecz nie tyle nauką, ile świętością życia zajaśniał i blaskiem swych cnót krakowskiej szkole chwały przysporzył.

Byli naówczas w Jagiellońskiej wszechnicy uczeńsi od niego mistrzę, którzy szeroko po świecie wsławili swe imię, a polskiemu narodowi wielką chwałę przynieśli. Takim był uczeń tej szkoły, co całemu światu ruchy ziemi i słońca objaśnił, sławny Mikołaj Kopernik. Głośniejsi nauką i wymową od Jana Kantego byli: Wincenty Kot, Paweł z Brudzewa Włodzimierzo-

wicz, Tomasz ze Strzępina, Mikołaj Kozłowski, którego kazania św. Jan przepisywał, Dersław z Borzymowa, Jan Elgot, najtęższy owych czasów teolog, Jakób z Poradyża i wielu innych.

Ale wszystkich tych sławnych uczonych i rozgłośnych szermierzy teologicznych przewyższał ten najcichszy i najpokorniejszy sługa Uniwersytetu „dojrzałością rady znamienity i cnót ozdobą jaśniejący“, tak że raczej ogrzewał ciepłem miłości, niż świecił światłem mądrości. Chwali go za to Kościół święty, śpiewając w hymnie: „zakonu Boga Najwyższego uczysz mistrzu i czynisz: na nic się nie zdało wiedzieć, tylko starajmy się pilnie zakon wypełnić.

Nie wiedział dobrze św. Jan Kanty, że, aby oświata mogła się stać duchową siłą i dźwignią społeczeństw, musi obejmować nie tylko umysł, ale i serce, i dlatego nie pojmował jakby ją można odrywać od religii, tej jedynej podstawy i niewyczerpanego źródła wielkich i szlachetnych uczuć, które też przedewszystkiem w jego własnej duszy zakwitły kwiatem świętości. I tak się stało, że pracę nad posiewem oświaty narodowej rozpoczął ten święty od samego siebie, rozumiejąc, że przeminą słowa, lecz pozostaną czyny. Każdy zaś czyn szlachetny i dobry ma podwójną wartość: Osobistej zasługi i przykładu, który innych pociąga. Taką też wartość ma świątobliwe życie Jana Kantego.

Chcąc być doskonałym, podobnym mistrzowi swemu, Chrystusowi Panu, chował czystość dziewiczą, a ciało umartwieniami podległem czynił swej woli i trapił je ciągłą pracą, czuwaniem nocnem i ustawicznymi postami, tak, że przez ostatnich 30 lat swego żywota nigdy mięsa nie jadł. A taką miłością dla potrzebującej braci był przejęty, że, bywało, obuwie z nóg ubogiemu dawał. Kościół śpiewa też o Nim tę wielką pochwałę, że „nigdy nie odmówił nikomu proszącemu pomocy“. To też wdzięczni ziomkowie otoczyli pamięć Jego wieńcem prześlicznych legend i podań o cudach, jakie Bóg czynił, przychodząc w pomoc jego miłosiernemu sercu.

Służbę swą dla Uniwersytetu pojmował jako ciągłe zobowiązanie do pracy; rozumiał to dobrze, że nie tylko bohaterskie czyny zapału i poświęcenia ani też nie same rozgłośne nauką dzieła dźwigają społeczeństwo, ale dźwiga je i do coraz świetniejszej przyszłości prowadzi sumienne i gorliwe spełnianie zawodowych obowiązków. I taka cicha służba i taka wytrwała praca krzewi swym przykładem oświatę narodową, przekazując ją jako żywe dziedzictwo i skarbnicę sił przyszłym pokoleniom.

W tem leży zasługa św. Jana Kantego dla narodu: w przykładzie pracowitego i cnotliwego życia. Życiem swojem dał święty Jan przykład tego, co w naszych już czasach sławny nasz dziejopis, Józef Szujski, wypowiedział, iż „oświata, to nie stos książek... ale zasób nauki stosowanej do życia“. Oświata nie polega na tem, aby rozjaśnić umysł, ale ma ona jeszcze uszlachetnić serce i urobić wolę tak, by człowiek jeno do czystych i dobrych zdążał czynów. Takie życzenie mieli założyciele krakowskiej uczelni, owej skarbnicy wiedzy i to ich życzenie wiernie spełnił uczeń i profesor tej Uczelni, św. Jan Kanty.

Niestety! Nie zawsze wstępowali w Jego ślady ci, „co nieśli przed narodem oświaty kaganiec“. Jagiellońska szkoła straciła już w następnym wieku swój blask promienisty; ani święci, ani uczeni nie zdobią jej wtedy mistrze; zaczem poszło, że co zacniejsi Polacy wzgardzili tą, matką oświaty polskiej i poczęli u obcych szukać rozumu i nauki.

Dopiero w XVIII. wieku, kiedy naród pod obuchem ostatecznych ciosów powstał do czynu i w każdej dziedzinie społecznego życia zabrał się do pracy wydano ustawę: „Nie jest szkolnych instrukcyi końcem nauczyć dziecię obcego zniszczonych narodów języka, oziębłego wierszopisarstwa, fałszywej retoryki i tym podobnych rzeczy, ale owszem całe staranie obrócić trzeba, aby uczeń zawczasu zaczął być rozsądnym, czułym, cnotliwym i pożytecznym“.

Tosamo rzekli byli wielcy królowie: Kazimierz i Jagiełło, a św. Jan Kanty to ważkie ich słowo w czyn wprowadził.

Tosamo rzec i wykonaćby trzeba dzisiaj,, gdy nam przyjdzie począć „odbudowę kraju“.

Wydawca: Ks. Karol Nikiel. Odpowiedzialny redaktor: Karol Hełeksa.

Drukarnia »Głosu Narodu« w Krakowie.